

POLA KRAUCZ

Była zdesperowana. Tylko on mógł jej pomóc.
A tak się składało, że miała coś, co on chciał w zamian.

UKŁAD 2 MILIONEREM



Copyright ©

Pola Kraucz

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2020

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja:

Agata Polte

Korekta:

Weronika Kucharczyk

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Agnieszka Zawadka

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-434-4

POLA KRAUCZ

**UKŁAD
Z MILIONEREM**

OŚWIĘCIM 2020

I

Slumsy... fawełe... To nic innego jak określenia dotyczące dzielnic biedy znajdujących się w Brazylii. Dawniej nikt z mojej rodziny nawet nie wyobrażał sobie takiego życia. Nie było obaw o posiłek, dach nad głową... Ale wszystko się zmieniło.

Od kiedy przeprowadziliśmy się na obrzeża Crato, pomimo że sama niedawno skończyłam dziewiętnaście lat, zastępowałam matkę młodszemu rodzeństwu. Każdego dnia wstawałam przed świtem, gotowałam ryż, zostawiając dzieciom zdecydowaną większość. Jadłam minimalne ilości, ale wcale mi to nie przeszkadzało, bo przez ten długi czas zdążyłam się przyzwyczaić do uczucia wiecznego głodu i niepewności o jutro, więc za wszelką cenę starałam się ochronić resztę mojej rodziny przed tymi problemami. Chciałam, aby chociaż rodzeństwo nie musiało się tym martwić tak wcześnie, ale z każdym dniem było trudniej, a dzieci coraz więcej rozumiały. Te małe szkraby były moimi oczkami w głowie. Madeline miała zaledwie sześć lat, piękne czarne włosy i cudowne, jasne oczy. Marry, ośmioletnia, ciemnowłosa piękność, odziedziczyła śliczne szmaragdowe oczka po ojcu. Christopher miał dwanaście lat i coraz bardziej interesował się naszą sytuacją. Kilka razy próbował nawet oszukiwać, że nie miał ochoty na jedzenie, gdy jego brzuszek burczał z głodu, aby odstąpić mi choć część kolacji. W moich oczach zawsze zbierały się łzy szczęścia i pojawiała się duma, że wychowywałam ich dobrze. Tarmosiłam kruczoczarne włoski brata i z uśmiechem oznajmiałam, że już jadłam. Choć to nie zawsze było prawdą. Te sytuacje napełniały mnie motywacją do działania, którą trudno

było utrzymać, biorąc pod uwagę chociażby warunki, w jakich żyliśmy i to, gdzie mieszkaliśmy.

Każdej nocy, gdy po pracy kładłam się w kącie na skrawku starego dywanu, rozmyślałam o nich. O tym, że bez edukacji skończą jak ja – jako zbieracze śmieci. Nieraz próbowałam szukać jakiegoś sposobu na poprawę naszej sytuacji, ale po prostu było to niemożliwe bez wykształcenia i żadnych przydatnych umiejętności. Jednak nie to było najgorsze. Gdyby ojciec choć przez moment pomyślał o nas, mielibyśmy szansę przynajmniej nie martwić się o to, że nie mamy co jeść. Roy – nasza głowa rodziny – borykał się z alkoholizmem. Pił za swoją rentę, która nie była duża, ale mogłaby nieco poprawić nasz stan bycia. Jednak nigdy nie przyszło mu do głowy, aby podzielić się ze mną choć częścią pieniędzy. Nawet, gdy przynosiłam do domu zaledwie kilka centavos¹. Znikał na całe dni, wracał wieczorami i pijany rzucał się na kanapę w osobnym pokoiku, do którego żadne z nas nie mogło wchodzić. Miało to swoje plusy, bo chociaż za dnia nie musiałam martwić się, że zrobi coś dzieciom, gdy mnie nie było.

Naszym „domem” była dwupokojowa ruina z karton-gipsu i drewna. Nie było mowy o jakimkolwiek impregnowaniu, dlatego szybko pojawiły się pleśń i grzyb. Chałupka prawie się waliła, trzymała się jedynie na spróchniałych deskach, które w kilku miejscach podpierały gałęzie. Kiedy przychodziła burza, błagałam Boga, patrząc na trzęsące się i kołyszące ściany, aby ulitował się i nie odbierał nam jedyne go dobytku, który zapewniał pozory bezpieczeństwa. Ta skromna lepianka była dużo lepsza niż mieszkanie na ulicy, ponieważ ludzi bez choćby najlichszych czterech ścian traktowano jak zwierzęta bez żadnych praw.

W dzielnicach biedy od zawsze szerzyła się przestępczość, dlatego nikogo z nas nie dziwiło, że bogacze odgradzali się od nas czterometrowym, betonowym murem. Robili to nie tylko ze względów bezpieczeństwa. Oni po prostu nie chcieli nas wi-

¹ Centavos – brazylijska waluta (przy p. red.).

dzieć. Nie chcieli widzieć naszych problemów. Tego, jak snuliśmy się niczym szkielety obwieszane łańchmanami i szukaliśmy śmieci, by mieć co jeść.

Pomimo że nikt ze slumsów nie darzył sympatią bogaczy, to każdy lubił patrzeć przez bramę na posiadłość znajdującą się najbliżej naszej dzielnicy. Oczywiście, każdy z nich sprzedałby swoją rodzinę, a może nawet duszę, aby być Oliverem, do którego ta niezwykła rezydencja należała. To była specyficzna społeczność. Jeśli wiodło ci się lepiej, gardzili tobą i robili wszystko, aby cię zniszczyć, okraść i upokorzyć. Ale jeśli wiodło ci się dużo gorzej od nich, próbowali pomóc.

Każdego dnia zbierałam butelki i inne śmieci do, już niemal kompletnie zniszczonego, koszyka z gałęzi, i zatrzymywałam się na moment przy bramie, aby także popatrzeć. Wlepiałam spojrzenie w śnieżnobiałą, murowaną rezydencję, na ogród, który tętnił życiem i kolorami. W dzielnicy biedy wszystko było szare, brudne i zniszczone. Wzdychałam ciężko i odpływałam myślami w krainę marzeń.

Zdarzało się, że gdy tak patrzyłam, na tarasie zjawiał się Oliver. Czasami z gośćmi, a czasami sam. Mężczyzna był niezwykle przystojny i elegancki. Jego jasna skóra kontrastowała z ciemnymi, połyskującymi włosami, a dopasowany czarny garnitur sprawiał, że niejednej kobiecie miękły kolana na jego widok. Czasem nawet obdarzał nas pogardliwym spojrzeniem, które szybko przenosił na ogród, aby nie psuć sobie dnia. Pomimo iż na święta zawsze obdarowywał biedne rodziny, to zawsze w środowisku slumsów krążyła o nim bardzo zła opinia. Podejrzewano go o morderstwa, handel ludźmi, bronią, narkotykami, zakładanie domów publicznych, gdzie zatrudniał porwane z biednych dzielnic kobiety, oraz o inne straszne rzeczy, które mogły być prawdą, ale wcale nie musiały.

Po skończonym dniu pracy szłam jak wszyscy do skupu. Czasem czekałam nawet kilka godzin, aby dotrzeć do okienka. Naj-

bardziej opłacalne było zbieranie butelek. Za plastikowe dostawałam około dziesięciu centavos, a za szklane około piętnastu. Cudem było, jeśli udawało mi się dostać chociażby dwa reale². Wtedy z radością i dumą wybierałam się na targ, po czym kupowałam kilogram ryżu i, jeśli starczało, coś jeszcze. Po powrocie do domu robiłam kolację, ale zawsze musiałam dbać o to, by na następny ranek zostały jakieś resztki i żeby ten schemat... mógł powtórzyć się kolejnego dnia.

² Real – brazylijska waluta (przyp. red.).

II

Kiedy wróciłam do domu po całym dniu zbierania butelek, od razu zabrałam się do przygotowania kolacji wygłodniałemu rodzeństwu. Dzieci stały wokół mnie, uważnie przyglądając się procesowi przygotowywania posiłku, i uśmiechały się szeroko, widząc, że tym razem przyniosłam dużo więcej niż ostatnio.

– Ivon. – Ktoś szarpnął skrawek mojej szarej spódnicy.

– Co się stało? – Zwróciłam wzrok w kierunku Marry, za którą stali Madaline i Chris wlepiający spojrzenia w podłogę. Doskonale wiedziałam, co to oznaczało. Tym razem to ją wybrali do zadawania trudnych pytań.

– Czy to znaczy, że – zaczęła niepewnie – dziś jest ten dzień, gdy możemy zjeść łyżkę więcej? – zapytała, patrząc na mnie ślicznymi, zielonymi, błyszczącymi oczkami.

W pierwszej chwili miałam od razu odpowiedzieć, że choć bardzo bym chciała, to nie mogą, bo zawsze trzeba być gotowym na dzień, gdy nic nie udałoby mi się zarobić i dobrze wtedy mieć coś drobnego w zapasie. Jednak widząc nadzieję w ich spojrzeniach... nie potrafiłam odmówić.

– Tak, aniołku – mruknęłam z uśmiechem, tarmosząc jej śliczne włoski, aby przestała się stresować. – Dziś jest ten dzień, gdy możecie zjeść łyżkę więcej – potwierdziłam, a ich twarze od razu się rozpromieniły.

Ta informacja dała im tyle szczęścia, że niemal skakały z radości, a przecież to było jedynie odrobinę więcej niż zwykle. Na tę myśl poczułam łzy zbierające się oczach.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Wyrzałam przez okienko, uśmiechając się ciepło na widok pulchnej, siwowłosej, przygarbionej ze zmęczenia i zmartwień Genowefy.

– Niech ciotka wejdzie – powiedziałam, wpuszczając ją do środka.

– Dzień dobry, dziecinko – wysapała, a ja uściśkałam ją mocno na powitanie.

– Ile dziś zarobiłaś? – zapytała, mało dyskretnie zaglądając mi przez ramię do garnka.

– Dwa reale... – mruknęłam, a następnie zabrałam ze stołka lalki dziewczynek, zrobione z cienkich gałęzi i kawałków szmatek. – Zje coś ciocia? – spytałam z serdecznym uśmiechem, bo ona nigdy nie odmawiała mi pomocy, a ja domyślałam się, że nie przyszła do końca bezinteresownie. W dodatku jako miejscowa znachorka była bardzo dobrze znana, więc tym bardziej zależało mi na dobrych stosunkach z nią.

– Ivon... – Westchnęła z wdzięcznością, widząc, że ją zrozumiałam, a w jej oczach zakręciły się łzy.

Prośenie o jedzenie nie należało do najprzyjemniejszych rzeczy, ale nie było w tym wstydu, jeśli robiło się wszystko, aby o to jedzenie nie musieć prosić. Czasem po prostu zdarzało się, że stawało się to koniecznością. Dlatego żadna z nas nigdy nie odmówiła drugiej pomocy i to nie tylko tej materialnej, bo wiedziałyśmy, że każdy dzień pod względem zarobków był inny.

– Ojca nie ma? – zapytała, gdy podałam jej miszkę, po czym spojrzała na drzwi od pokoju Roya.

– Nie ma. Wróci pewnie za kilka minut – oznajmiłam cicho.

– Czy ten Danny znów cię zaczepiał? – rzuciła, aby przerwać niezręczną ciszę.

Pokiwałam lekko głową, wlepiając wzrok w podłogę, aby ukryć łzy. Wiedziałam, że nie mogłam okazywać słabości przy dzieciach. Byłam ich jedyną nadzieją, a gdy widziały mnie zrozpaczoną, bały się podwójnie.

Danny, od kiedy tylko pamiętałam, usilnie próbował zwerbować mnie do swojego domu publicznego. Twierdził, że byłam jedną z bardziej zadbanych, pięknych i ponętnych kobiet, co pozwalałoby zarabiać takie pieniądze, że kiedyś mogłabym znów zamieszkać wśród bogaczy. Czasami po prostu wspominał, że u niego żyłoby mi się lepiej, ale częściej rzucał wyzwiskami oraz groźbami, wylewając w ten sposób frustrację z powodu usłyszenia kolejnej odmowy.

Bycie prostytutką wydawało się prostszym rozwiązaniem, ale tylko wydawało. Alfons najpierw pozwalał zarabiać dziewczynie dobre pieniądze, a potem tworzył nieistniejące koszty, sprawiając, że ostatecznie pracowała za miskę ryżu.

– Nie płacz. – Przysunęła się i pogładziła moje czarne włosy. – Jeszcze los się odmieni – mruknęła.

Powtarzała mi to codziennie, a los... nigdy się nie odmieniał.

Obudziłam się jak zwykle o świcie, próbując ignorować ból karku oraz pleców, który towarzyszył mi niemal każdego dnia, po czym wstałam półprzytomna i zaczęłam szykować śniadanie dla dzieci. Na dźwięk krzątania Madeline i Christopher zaczęli kręcić się w posłaniach.

– Jak tam? – Podeszłam do nich z uśmiechem. – Wypaliście się? – zapytałam, głaszcząc ich po główkach. Wtedy zorientowałam się, że Marry nie wyglądała najlepiej.

Była zlana potem, drżała i najwyraźniej miała wysoką gorączkę. Zaniepokojona podeszłam do małej szafki przy piecyku, a następnie wyciągnęłam z niej prawie pusty, nieduży flakonik z lekarstwem. Nalałam do niego wody, wstrząsając nim w drodze do posłania siostry. Podałam jej odrobinę, próbując określić co się stało. Najbardziej jednak bałam się tego, że dzieci zarażą się od siebie, a ja nie będę miała pieniędzy na medykamenty.

– Dbajcie o siostrę. Ryż jest w garnku. Postaram się dziś wrócić szybciej – powiedziałam z wymuszonym uśmiechem, głaszcząc ostatni raz skuloną Marry po główce, po czym wyszłam z domu.

Na ulicach było pełno zbieraczy. Mało kto mógł znaleźć zatrudnienie w innej dziedzinie, więc większość z nas pałętała się po dzielnicy i szukała śmieci, które wyrzucali bogacze. To, co nadawało się do przetworzenia lub ponownego wykorzystania, trafiało do skupu, gdzie produkty dostawały drugie życie.

Mijałam znajome, liche domki wyglądające bardzo podobnie. Wykonano je z tanich, zniszczonych materiałów, naznaczonych pleśnią oraz grzybem, które sprawiały, że na ścianach tworzyły się pęcherze oraz wyrzuszenia, a w wilgotne dni wszędzie unosił się zapach stęchlizny.

W końcu dotarłam pod mur, gdzie zawsze można było znaleźć wiele ciekawych rzeczy i podeszłam pod bramę, przy której przystanęłam wraz z kilkoma kobietami, aby popatrzeć na ogromną posiadłość Olivera.

W ogrodzie stały lampy, rosły piękne, kolorowe kwiaty, a także różne drzewa owocowe. Trawa była idealnie przycięta, ciesząc oczy żywą zielenią. W dzielnicy biedy, z powodu gęstej zabudowy, nawet o nią było trudno, bo zwłaszcza latem ostre słońce uniemożliwiało ukorzenienie się czemukolwiek w skamieniałej ziemi. Patrzyłam na rozciągający się sad pełen owoców, a mój żołądek zaburczał na widok stosów mango, papai... i pojawił się żal do bogaczy. Nie rozumiałam, dlaczego ich nie rozdawali, skoro się marnowały? Dlaczego nie chcieli pomóc, wiedząc w jak złych warunkach żyliśmy? Dlaczego dla nich nasze życie kompletnie nic nie znaczyło?

Szybko jednak porzuciłam te myśli. Oni nie mieli obowiązku nikomu pomagać, choć czasem to robili. Zapewne dla pokazu albo uspokojenia sumienia, ale przynajmniej dwa razy do roku coś nam dawali. Chociażby drobną paczkę z jedzeniem oraz fiolką lekarstwa.

Wtedy zorientowałam się, że jakaś dziewczynka podbierała z mojego koszyka butelkę.

– Amy! – Usłyszałam czyjś krzyk, na co mała blondynka chwyciła plastikowy pojemnik i zerwała się do ucieczki. – Najmocniej przepraszam – powiedziała starsza kobieta z kurzymi łapkami przy zewnętrznych kącikach oczu, nie wiedząc, gdzie podziąć wzrok ze wstydu. Wyciągnęła ze swojego wózka butelkę, aby oddać mi ją w ramach rekompensaty.

– Nie trzeba. – Uśmiechnęłam się do niej, zabierając koszyk.

– Dziękuję, Ivon – powiedziała z ciepłym uśmiechem, odkładając swoje jedyne znalezisko z powrotem na miejsce, po czym odwróciła się i odeszła w kierunku publicznej studni, gdzie bawiły się jakieś dzieci.

Odprowadziłam ją wzrokiem z ogromnym zdziwieniem, bo nie wiedziałam, skąd znała moje imię. Następnie spojrzałam na pusty koszyk i zasmuciłam się. Mimo to czułam, że zrobiłam coś dobrego, co było ważniejsze niż ta jedna butelka. Chciałam, aby każdy służył każdemu pomocą, a skoro tego oczekiwałam, toteż sama musiałam się do tej zasady stosować. Poza tym dziecko zapewne zrobiło to z konieczności. Może nawet z rozkazu rodziców, co nie należało tutaj do rzadkości.

Odwróciłam wzrok z powrotem w stronę rezydencji i lekko drgnęłam, bo do ogrodu wyszedł Oliver wraz ze swoimi znajomymi. Mężczyzna miał na sobie garnitur z czarnego materiału, który idealnie współgrał z jego ciemnymi włosami oraz podkreślał wyćwiczoną sylwetkę. Tak jak pozostali goście, trzymał w ręce kieliszek z jakimś trunkiem, wysłuchując monologu kobiety w bordowej sukience.

Czasem wyobrażałam sobie, że byłam takim Kopciuszkiem, a Oliver Księciem. Zabrałby mnie wraz z rodziną do siebie, a potem pomogliśmy wszystkim, likwidując skrajną biedę.

Nagle zorientowałam się, że mężczyzna patrzył chłodnym wzrokiem w kierunku bramy, jakby w ten sposób dawał znak,

że mam odejść, bo straszylam jego gości. Zawstydyłam się, natchmianst odwracając oczy i szybko odeszłam od bramy.

– Pięćdziesiąt centavos? – zapytałam cicho. – Przecież przyniosłam osiem butelek – wymamrotałam załamana.

– Tyle dałam, tyle brać! Nowy podatek! – warknęła kobieta z okienka, gdzie odbieraliśmy pieniądze. – A jak się nie podoba, to do burdelu! – wrzasnęła, wyganiając mnie.

Czasami to, jak się do nas odnosili, sprawiało, że odechciwało mi się żyć. Traktowali nas jak kogoś gorszej kategorii... kogo można było mieszać z błotem i komu nie trzeba nic dać za cały dzień szukania. Opuściłam głowę i zacisnęłam zęby, postanawiając przemilczeć jej słowa, bo kłótnia nic by nie dała, a mogła zaszkodzić.

Wolnym krokiem ruszyłam na targ, pozwalając płynąć łzom po policzkach. Byłam sobą rozczarowana i spodziewałam się, że po powrocie, gdy zacznę przygotowywać kolację, zobaczę zawiedzione dzieci. No i Marry... Co, jeśliby jej nie przeszło, a w dodatku rozchorowałiby się Chris albo Madeline? Tym bardziej czułam się źle z tym, że mało zarobiłam.

Podeszłam do stoiska znajdującego się w pobliżu skupu, przy którym stał starszy mężczyzna z bogatej, rolniczej dzielnicy. Przyjeżdżał do nas późnym wieczorem, aby każdy zbieracz mógł od razu wydać wszystkie zarobione pieniądze na jedzenie. Patrzyłam na pełne worki, które sprawiały, że blat stołu odkształcał się w łuk, a mój ściśnięty żołądek zaburczał na widok wszystkich tych produktów. Przez krótki moment miałam ochotę coś zabrać i uciec, zanim sprzedawca by mnie dopadł, ale wtedy usłyszałam jego przyjazny głos:

– Co ci podać Iv? – zagadnął, uśmiechając się w moim kierunku.

– Czy dostanę coś za pięćdziesiąt centavos? – zapytałam nieśmiało z nadzieją w oczach.

Pokręcił głową, powzdychał, aż wreszcie ulitował się i nałożył mi niecałe pół kilo mąki, zarzekając się, że nie może dać więcej. Podziękowałam, po czym przycisnęłam do klatki piersiowej zawiniątko i odeszłam.

III

Gdy wracałam do domu, zdążyło zrobić się dość ciemno. Jedynie na horyzoncie widniała pomarańczowa smuga światła, która towarzyszyła zachodzącemu słońcu. Powietrze było zaskakująco chłodne oraz wilgotne, zwiastowało deszcz. Otuliłam się swetrem skostniałymi z zimna palcami, po czym przyspieszyłam kroku.

Cały czas myślałam o Marry z nadzieją, że zastanę ją w dużo lepszym stanie niż o poranku. Jednak kiedy tylko dotarłam na odpowiednią ulicę, spostrzegłam Chrisa, który chodził nerwowo wzdłuż drzwi naszego domku. Gdy tylko mnie spostrzegł, zaczął biec w moim kierunku:

– Ivon! Ivon!

– Co się stało? – zapytałam zaniepokojona.

Przykucnęłam, żeby móc spojrzeć na jego pobrudzoną buzię oraz dowiedzieć się, co się dzieje.

– Z Marry jest źle – oznajmił pospiesznie.

Natychmiast złapał moją dłoń, po czym zaczął pędzić w kierunku domu. Ledwie nadążałam za tempem, jakie narzucał. W dodatku z każdą chwilą rósł mój niepokój.

Weszliśmy do środka, a ja od razu skierowałam się do posłania chorej siostrzyczki. Mała kuliła się z bólu, trzymając za brzuch, i drżała z powodu wysokiej gorączki. Pogłaskałam z troską jej włoski. Po chwili przeniosłam spojrzenie na przejęte dzieci.

– Chris, przynieś wody ze studni – rozkazałam, na co od razu pobiegł wykonać polecenie.

– Co jej jest? – zapytała cicho Madeline.

– Nie wiem – powiedziałam szczerze. Sięgnęłam po miseczkę, zaczerpnęłam trochę z wiaderka wody, po czym podałam trochę chorej. – Ale na pewno niedługo wyzdrowieje – dodałam, choć sama w to nie wierzyłam. Bez wątpienia nie było to zwykłe znanie mi przeziębienie czy inne zatrucie.

– A będzie się mogła jutro ze mną pobawić? – wymamrotała niepewnie, wlepiając wzrok w podłogę.

– Obawiam się, że będzie potrzebowała dużo odpoczynku, więc może nie dać rady – oznajmiłam, a następnie przeniosłam spojrzenie na stojącą obok siostrę i uśmiechnęłam się. – Za kilka dni wydobrzeje na dobre, a ja zrobię wam nową lalkę do zabawy – powiedziałam, na co Madeline od razu się rozpromieniła oraz objęła mnie swoimi chudymi rączkami.

Kiedy wrócił Chris, podałam Marry resztę leku, namoczyłam kawałek szmatki w lodowatej wodzie i zaczęłam schładzać jej rozpalone czoło. Próbowалам odgadnąć, co jej dolegało. Może to jednak było zatrucie? A może silne przeziębienie?

– Ivon? – Z rozmyślenia wyrwał mnie głos brata.

– Tak?

– Kiedy będzie kolacja? – zapytał, nie patrząc na moją twarz, lekko zawstydzony swoją śmiałością.

– Już robię. – Podniosłam się. – Jeśli okład zrobi się ciepły, to namocz go w wodzie dopiero przyniesionej ze studni – poinstruowałam, po czym poszłam rozpalić w piecyku.

Na początku nie wiedziałam, co mogłabym przyrządzić z samej mąki, więc zdecydowałam się na dodanie odrobiny wody i zrobienie czegoś w rodzaju klusek. Dodatkowo w szafce znalazłam połówkę nadgnitego mango. Odkroiłam to, co było zepsute, a z reszty zrobiłam papkę, która miała stanowić dodatek do posiłku. Kiedy wszystko było gotowe, wręczyłam po miseczce każdemu z rodzeństwa, a następnie postanowiłam udać się do ciotki, aby poprosić ją o pomoc. Byłam pewna, że będzie wiedziała, co trzeba zrobić, aby Marry poczuła się lepiej i wyzdrow-

wiała jak najszybciej. W końcu nieraz ratowała nam biednym skóry, gdy ktoś chorował.

– Chris! Opiekuj się siostrami. Idę do ciotki Genowefy. Za chwilę wrócę – poinformowałam ich i natychmiast ruszyłam do jej domu.

Na zewnątrz zdążyło się już zrobić bardzo ciemno i zimno, ale nie stanowiło to żadnego problemu, ponieważ znałam drogę niemal na pamięć. Biegłam najszybciej jak potrafiłam, byle tylko znaleźć się u niej jak najprędzej. Nie chciałam zostawiać dzieci samych, zwłaszcza że w każdej chwili mógł wrócić Roy. Poza tym, pałętanie się o tak późnej porze po ulicy nie należało do najrozsądniejszych posunięć.

Z każdym oddechem chłodne powietrze wdzierало się do moich płuc, co sprawiało, że odnosiłam wrażenie, jakby miały zamarznąć, więc zasłoniłam usta swetrem, nie zwalniając tempa. Ignorowałam ból mięśni oraz kości towarzyszący każdemu krokowi, a także zmęczenie po całym dniu szukania śmieci. Mimo to musiałam się spieszyć, żeby zdążyć przed powrotem ojca.

– Dokąd tak pędzisz? – Usłyszałam nagle niski głos, na co nerwowo rozejrzałam się w poszukiwaniu mężczyzny, którego doskonale znałam.

– Do ciotki – powiedziałam oraz zatrzymałam wzrok na postaci Danny’ego.

Dostrzegałam jedynie zarys jego masywnej sylwetki, widocznej tylko dzięki blaskowi ognia z czyjegoś domu. Opierał się o niego ramieniem i uśmiechał szyderczo, mnąc coś w palcach.

– Spieszę się – oznajmiłam najspokojniej jak potrafiłam, choć na niewiele się to zdało. Danny doskonale wiedział, że się go bałam.

Po chwili odwróciłam się z powrotem w kierunku drogi, po czym stanowczo szłam przed siebie, aby tylko jak najszybciej się go pozbyć oraz nie kusić losu.

– Rozmawiałem ze sklepikarzem. – Ruszył za mną. – Ponoć znów ceny butelek zmaleły. Nie mają w ogóle szacunku do was, biednych ludzi.

– Niestety. – Przyspieszyłam kroku.

– Po co ten pośpiech, Ivon? – Zaszedł mi drogę.

Cofnęłam się i zaczęłam panicznie rozglądać dookoła w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby udzielić mi pomocy, jednak ulice były kompletnie puste. Ciężko przełknęłam ślinę, czując jak serce podchodziło mi do gardła.

– Chcę tylko pogadać.

– Nie mam czasu – powiedziałam, a następnie spróbowałam go minąć, ale nie miał zamiaru pozwolić mi odejść.

– U mnie zawsze zarabiałabyś wystarczająco, aby wykarmić rodzinę. Naprawdę żyłoby ci się lepiej – stwierdził, przeczesując swoje blond włosy palcami, przez co zwichrzył grzywkę, która uporczywie wchodziła mu w oczy. Przełknęłam ciężko ślinę, po czym zaczęłam się zastanawiać, co odpowiedzieć, żeby go nie zdenerwować.

– Dziękuję panu, ale nie planuję zmiany zawodu – oznajmiłam cicho.

Chciałam znów odejść, ale ten po raz kolejny zastąpił mi drogę, chwytając mocno moje nadgarstki.

– Dlaczego od razu uciekasz? – Zaśmiał się, gdy panicznie próbowałam się wyrwać. – Nauczyłbym cię wszystkiego. Byłabyś wspaniałą ozdobą burdelu – powiedział z rozbawieniem spowodowanym moimi próbami uwolnienia się.

Starałam się go drapać, odpychać, ale to nie przynosiło żadnego skutku. Bicie serca przyspieszyło jeszcze bardziej, gdy każdy opór okazywał się daremny. Danny był dużo silniejszy i gotowy zrobić mi krzywdę.

– Pomocy! – zaczęłam krzyczeć w akcie desperacji, wierząc, że się wystraszy lub ktoś wyjdzie z domku i stanie w mojej obronie.

Na szczęście wołanie przyniosło natychmiastowy skutek, bo mężczyzna od razu rozluźnił uścisk, dzięki czemu zdołałam od niego odskoczyć. Pędem ruszyłam przed siebie w stronę domu ciotki.

– Jeszcze będziesz błagała o posadę! – zaczął się odgrażać, ale te słowa nie robiły już na mnie wrażenia, bo słyszałam je od niego nazbyt często.

Moje serce nadal biło jak oszalałe, a ręce drżały z nerwów. Powoli się uspokajałam, ale wciąż sprawdzałam, czy Danny jednak za mną nie szedł. Wyglądało na to, że na razie kryzys znów został zażegnany.

W końcu dotarłam do drzwi, więc energicznie zapukałam, przestępując z nogi na nogę.

– Co się stało? – zapytała przestraszona Genowefa.

Wyraźnie się mnie nie spodziewała. Już na pewno nie w takim stanie, bo nadal ledwie łapałam oddech. Zapewne wyglądałam na co najmniej wystraszoną.

– Danny – wyjaśniłam z trudem.

– Nie ma wstydu. – Pokręciła głową. – Wejdz. – Zeszła mi z drogi.

– Z Marry jest źle. Musisz mi pomóc. – Popatrzyłam na nią błagalnie.

– Już idę – oznajmiła, po czym szybko zarzuciła szal na plecy i natychmiast ruszyliśmy w drogę.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, Genowefa nachyliła się nad posłaniem Marry i zaczęła ją oglądać. Dotknęła jej czoła, dotknęła brzuszka, ale wciąż nic nie mówiła.

Zaniepokojona Madeline chwyciła swoją lodowatą rączką moją dłoń. Zdjęłam sweter, owinęłam ją nim, po czym przytuliłam mocno do siebie. Pomimo tego, że była jeszcze mała, to zaczynała rozumieć niektóre rzeczy dziejące się w naszym życiu, więc kiedy atmosfera w domu stawała się ciężka, udzielała się także jej.

Dzieci potrzebowały dużo miłości. Zawsze starałam się im jej nie oszczędzać, choć to bywało trudne, gdy wracałam późno i kompletnie zmęczona. Bardzo chciałam, aby chociaż one niczym się nie martwiły.

Siostrzyczka wtuliła głowę w moje ramię, a wtedy zerknęłam na Chrisa, który stał na baczność, uważnie obserwując ciotkę. W końcu ja również zaczęłam spoglądać na minę kobiety i doszukiwałam się w niej wstępnej diagnozy. W pewnym momencie spostrzegłam u znachorki niepokojący wyraz, po którym załamano ręce.

– To woreczek żółciowy albo wyrostek! – oznajmiła ze łzami w oczach.

– Woreczek? Wyrostek? Jak jej pomóc? – zapytałam przejęta, uczepiając się jej ręki.

– Tylko operacja... Tylko operacja! – powtarzała z łkaniem. – Tylko operacja i to natychmiast! Ze trzydzieści tysięcy będzie, albo i więcej! – dodała, na co przysiadłam na taborecie, załamana.

Czułam, jakby moje serce pękło na pół. Początkowo to jakoś do mnie nie docierało. Przecież raptem wczoraj wszystko było w porządku. Jak to mogło stać się tak szybko? Trzydzieści... Może więcej? To przecież tak dużo pieniędzy! Te myśli kotłowały się w mojej głowie, przez co ignorowałam resztę jej słów.

– Czy ciocia jest pewna? – zapytałam z nadzieją. – Może to jakieś zatrucie?

– Widziałam takie objawy już kilka razy. – Potarła powieki. – Zawsze kończyło się tak samo... Po dziecku! – powiedziała, a następnie zaczęła wycierać oczy rogiem szala, przez co i mnie chciało się głośno płakać.

Rozpacz udzieliła się także reszcie dzieci, które zaczęły szlochać oraz tulić się do mnie. Odwzajemniłam ich uścisk, po czym spojrzałam znów na ciotkę z czerwonymi od łez oczami przepełnionymi żalem.

Nagle w pokoju obok rozległ się szmer. Rodzeństwo natychmiast uciekło, chowając się po kątach kuchni. Ja i ciotka zamarłyśmy przerażone. Obie skupiłyśmy wzrok na drzwiach od pokoju Roya. Po krótkiej chwili otworzyły się z impetem.

Ukazała się w nich masywna sylwetka pijanego ojca ubranego w przetarte jeansy oraz flanelową, dziurawą koszulę w czarno-czerwonej kratę. Potarł twarz dłonią, a następnie zatopił palce w przydługich czarnych włosach, jakby chciał się rozbudzić.

– Czemu się drzecie, baby!? – zawołał oburzony. – Zaraz was uspokoję! – Zaczął pospiesznie odpinać skórzany, popękany pasek u spodni.

– Nie masz wstydu! Zostaw dzieci! – odezwała się Genowefa, zdobywając się na trochę odwagi, ale gdy tylko raz się zamachnęła i cudem uniknęła uderzenia, błyskawicznie uciekła z domu.

Wystraszona cofnąłam się pod ścianę. Staralam się głośno nie szlochać, bo to jedynie go prowokowało do ataku. W oczach błyszczały mu dziwna zjadłość oraz gniew, gdy się zbliżał. Po moich policzkach spływały łzy strachu oraz żalu, a w głowie powtarzałam ciche błagania, aby znów nie bił. Jednak już po pierwszym ciosie wiedziałam, że nie skończy, dopóki nie wyładowuje złości. Skóra piekła z bólu w każdym miejscu, na które spadło uderzenie. Kuliłam się, próbując zasłonić twarz oraz brzuch, a także nie płakać głośno. Pasek świszczął raz za razem, przy czym Roy wyrzucał z siebie wulgaryzmy.

Nie wiedziałam, jak długo to wszystko trwało, ale w końcu usłyszałam kłapanie drzwi. Rozejrzałam się niepewnie i zorientowałam, że wrócił do siebie. Spojrzałam przezszklonymi oczami na ręce. Widniały na nich czerwone pręgi. Zasłoniłam usta dłonią, żeby nie sprawić, by wrócił, po czym przysunęłam się do posłania Marry, przy którym stało wiadro z wodą. Zmieniłam jej okład, a potem wzięłam drugą szmatkę, zwilżając ją mocno. Zaczęłam wycierać krew z miejsc, gdzie stworzyły się rany.

Przez prawie całą noc schładzałam czoło dziewczynki, myśląc nad możliwymi wyjściami z tej sytuacji. Rozważałam nawet zgłoszenie się do Danny'ego, ale wiedziałam, że nawet jako prostytutka nie zdołałabym w tak krótkim czasie uzbierać całej kwoty.

Kiedy zaczęło świtać, przygotowałam śniadanie dla dzieci, nałożyłam sweter, aby ukryć ślady po pobiciu, i wyszłam z domu. Ta straszna diagnoza wciąż do mnie nie docierała. To niepojęte, jak szybko do tego doszło. Tak z dnia na dzień, kompletnie niespodziewanie. Chodziłam totalnie załamana. Czasami nawet zapominałam, że powinnam zbierać butelki. Jednak ból oraz zmęczenie wcale nie zachęcały do działania.

W pewnym momencie zrównała się ze mną Genowefa. Przez długi czas szliśmy obok siebie, nie mówiąc nic. Nie miałam do niej żalu o to, że zostawiła mnie samą z Royem, bo nawet we dwie nic byśmy przeciwko niemu nie wskórały. Zdążyłam się przyzwyczaić do takich sytuacji, a nawet traktowałam je jako zasłużoną karę. W końcu jednak kobieta zebrała się na odwagę i odezwała się:

– Co zrobisz, Ivon?

– Nie wiem – wyszeptalam.

– Musisz zbierać na pogrzeb – stwierdziła i pokręciła głową z politowaniem.

– Nie pozwolę na to! Choćbym się miała sprzedać! – zawołałam tak głośno, że aż wszyscy spojrzeli w moim kierunku.

Zawstydzona opuściłam głowę oraz przyspieszyłam, aby schować się przed oczami ludzi, którzy usłyszeli moje słowa. Nie chciałam śmierci swojej siostry. Ten brak jakiegokolwiek nadziei mnie dobijał. Najgorsze jednak było to, że Marry jeszcze nie umarła, a mimo to już spisano ją na straty.

– Słyszałam kiedyś... – zaczęła jakaś kobieta – że Handerson uratował jakąś dziewczynę. Od tamtego czasu żyje sobie jak królowa. Biedę zapomniała... – Splunęła w kierunku rezydencji.

– To prawda? – zapytałam z nadzieją w oczach, podchodząc do szczupłej blondynki z cienkim kucykiem i siniakiem na policzku, ubranej w sukienkę z ogromną błotną plamą.

– Nawet jeśli... – wtrąciła się ostro ciotka oraz szarpnęła mną mocno, żeby odciągnąć od mówczyni – to tobie nie pomoże, bo zbankrutowałby, gdyby tak każdemu pomagał! Poza tym Oliver to gangster. Nieraz widziałam, jak ludzi jak psy zabija! – dodała cicho, po czym wcisnęła mi w rękę jakąś fiolkę. – Weź. To pomoże. Trochę złagodzi – wyszeptwała, a ja przytuliłam ją z całych sił, ledwie powstrzymując wzruszenie. – Leć do niej, dziecko. Podzielę się z tobą butelkami – oznajmiła, za co podziękowałam gorąco i ściskając fiolkę, pobiegłam do domu.